



**MAM
PRAWO I NIE
ZAWAHAM
SIĘ GO
UŻYĆ!**

Joanna Olech
Edgar Bąk

Mam prawo i nie zawaham się go użyć!

1.

Dawno, dawno temu (dokładnie w zeszły wtorek), nie za górami, za lasami, tylko na ulicy Żurawinowej pod numerem 13 otworzyła się zielona furtka i wyszła zza niej niewielka dziewczynka.

Miała zadarty, pokryty piegami nos i niezwykle duże stopy w czerwonych trampkach. W ręce trzymała wiklinowy kosz, wypełniony smakołykami. Była tam butelka soku malinowego, orzechy w miodzie i placek ze śliwkami, zawinięty starannie w pergamin. Na wierzchu leżała aspiryna i najświeższy numer tygodnika „Twój Komputer”, który tak lubiła Babcia.

Dziewczynka mocniej zawiązała pod brodą troczki czerwonego kapturka i ruszyła w kierunku lasu, który rozciągał się tuż za rogiem Żurawinowej i Kartoflanej. Właściwie był to zaledwie lasek, ot, niewielki młodniak na obrzeżach miasta. Po jego drugiej stronie, w pomalowanym na kolor jajecznicy domku, mieszkała Babcia. To dla niej przeznaczone były słodycze w koszyku Kapturek.

Dziewczynka szła wąską ścieżką i z rozmachem ciskała szyszkami w pobliskie zarośla. Nagle...

– AUĆ!!! – po kolejnym rzucie coś wrzasnęło w krzakach i spośród liści wystrzeliła rozczochrana głowa Wilka.

– Ups! – stropił się Kapturek – Bardzo przepraszam. Nie zauważyłam...

– Nic nie szkodzi – stęknął obcy, gramoląc się z krzaków. – Na taką ładną panienkę nie będę się przecież gniewał. – Wilk skrzywił pysk w przymilnym uśmiechu. Zbliżył się do dziewczynki i pochylił tak nisko, że poczuła woń wody kolońskiej brutal. – Ale buziak na zgodę nie zaszkodzi. – Obcy ściągnął usta w ryjek. – Przytul wujka, dziecino. Chodź tu, na kolanka – Wilk klepnął się po udach porośniętych skołtunionym, brudnym futrem.

Kapturek cofnął się gwałtownie, ale Wilk podązał za nim, wyciągając łapy z czarnymi pazurami, które dawno nie widziały nożyczek.

– Nie bój się, maleńka, wujek Wilk chce tylko policzyć guziczki u twojej sukienki.

– Niczego nie będziemy liczyć – obruszył się Kapturek. – A już na pewno nie guziczki.

I proszę się odsunąć, spieszę się do Babci.

Ale wtedy Wilk chwycił dziewczynkę wpół i uniósł w górę, aż czerwone trampki zamajtały w powietrzu. Zdążył jednak zaledwie zobaczyć przed sobą wściekłą dziecięcą buzię i dwa szeregi drobnych zębów, które wbiły mu się w ramię, gdy...

TRACH! – rozległ się huk i zapadła ciemność.

Kiedy chwilę później odzyskał przytomność, zobaczył, że leży na ziemi związany jak baleron różowym paskiem od szlafroka. Pochylały się nad nim dwie twarze: wąsate, groźne oblicze Pana Leśniczego i rumiana twarz Babci, okolona białym czepkiem z koronkami.

– Aaa, obudził się, „wujcio Wilk”! Tfu! Zresetuję drania i zrobię mu apdejt parasolką – fuknęła babcia, trącając czubkiem kaptura bure wilcze futro.

– Dobrze, że zjawiłem się w porę. – Pokręcił głową Leśniczy. – A i wnuczka bardzo przytomna... Wybrała na komórce numer babci, kiedy tylko ujrzała obcego faceta w krzakach.

Leżący na ziemi Wilk siąknął nosem markotnie i nerwowo zamrugał przekrwionymi ślepiami, bo oto nad sobą ujrzał piegowatą buzię Czerwonego Kapturka.

Dziewczynka wyszarpnęła z kieszeni wielki rulon papieru i rozwinęła go z furkotem. Oczom Wilka ukazał się starannie wykaligrafowany napis:

**Nikt nie ma prawa krzywdzić dziecka, ani dotykać go w sposób, który je
zawstydza, przeraża, wprawia w zakłopotanie.**

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

– Będziesz teraz liczył guziczki od swojej więziennej piżamy! – oznajmił Kapturek.

– A, jeszcze jedno – dodała babcia – strażnikami są tam Trzy Świnki.

2.

Zbliżała się Wigilia i w mieście panował wielki świąteczny rwetes.

Mieszkańcy ulicy Żurawinowej rozwiesili lampki na obsypanych śniegiem drzewach.

Pani Wrzosek spod siódemki uszyła ogrodowym krasnalom nowe czapki i czerwone kubraczki z napisem „Wesołych Świąt”. Cała okolica przychodziła podziwiać te

dekoracje.

Zapadał zmrok. W oknie domu pod numerem trzynastym piegowata dziewczynka przylepiła nos do szyby i patrzyła, jak kolejno zapalają się światełka na świerkach w ogrodach sąsiadów.

– Hej, córeczko! – dobiegł z kuchni głos Taty. – Zapomniałem o grzybach do uszek.

Kopnij się, proszę, do spożywczaka. A po drodze odbierz mamine kozaki od szewca.

Czerwonemu Kapturkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Każda okazja była

dobra, żeby pogapić się na udekorowane witryny i marcepanowe aniołki na wystawie cukierni.

Kwadrans później dziewczynka kupiła wianek podgrzybków i wstąpiła po buty do szewca, który pochwalił jej czerwony kapturek z miękkiej wełny.

Właśnie bez pośpiechu wracała do domu, kręcąc młynka siatką z butami, kiedy nagle... – ??!! – stanęła jak wryta.

W ciemnej niszy obok przystanku autobusowego, gdzie nie docierało światło latarni, dostrzegła dziwną kupkę łachmanów. Spod szmat sterczała chuda dziecięca dłoń, potrząsająca pudełkiem zapalek.

– Kup zapaliki... kup zapaliki... – monotonicznie powtarzał dziecięcy głosik. Niebieskie oczy zerknęły spod brudnej grzywki.

Czerwony Kapturek nie wierzył własnym oczom: gołe stopy dzieciaka wystawały ze znoszonych sandałów. Przez dziury widać było zsiniałe z zimna palce.

– Dziewczynka? Dziewczynka z zapalnikami? – zapytał Kapturek – Co ty robisz na mrozie? I skąd się tu wzięłaś?

– Z ulicy Andersena – odparł dzieciak i szepnął: – Ku-u-u-p zapaliki.

– Daj spokój! – Machnął ręką Kapturek i wyjął z siatki kozaki Mamy. – Wskakuj! Powinnaś teraz ubierać choinkę i dekorować pierniczki, a nie stać na tej zimnicy. – A kiedy dziewczynka pospiesznie zamieniła rozczłapane sandały na ciepłe buty, Kapturek dodał: – Idziemy do mnie. To niedaleko. Moi rodzice wszystkiemu zaradzą.

– Ale... tato zabronił wracać, dopóki nie sprzedam...

– Z tatą też sobie pogadamy, spokojna głowa – odparł Kapturek, marszcząc brwi.

Chwilę później Dziewczynka z zapalnikami, umyta i czysto ubrana, siedziała w domu państwa Kapturków i łapczywie pałaszowała drugi talerz zupy.

– A więc mówisz, że tata wysyłał cię do pracy? I sprawiał lanie, ilekroć pieniędzy było za mało? – zapytali rodzice Kapturka.

– Ta-a-k... – mruknęła dziewczynka z pełnymi ustami.

W kuchni zapanowała cisza. Czerwony Kapturek sięgnął do kieszeni i, szast-prast, rozwinął tuż przed nosem Dziewczynki z zapalnikami duży papierowy rulon. Oczom wszystkich ukazał się starannie wykaligrafowany napis:

**Nikommu nie wolno bić dziecka. Ani zmuszać go do pracy,
która szkodzi jego zdrowiu, rozwojowi, edukacji.
Dzieciom przysługuje prawo do dobrego traktowania
i godziwych warunków życia.
Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka**

A Mama Kapturka oznajmiła:

– Kiedy skończysz jeść, zadzwonimy do Rzecznika. Już on będzie wiedział, co zrobić. Potem pójdziemy pogadać z twoim tatą. Jedno jest pewne – koniec z biciem. I zapomnij o zapałkach.

– Czekaj cię przeprowadzka do innej bajki – dodał Czerwony Kapturek. – Takiej, która dobrze się kończy.

3.

Był sobotni poranek. Na ulicy Żurawinowej panowało poruszenie, bo oto do pustego domu pod numerem dziewiętnym sprowadzał się nowy sąsiad. Od rana wóz meblowy tarasował ulicę. Ekipa w niebieskich drelichach nosiła krzesła, szafy, żyrandole i doniczki z kwiatami.

Pani Wrzosek wystawiła sobie do ogródka turystyczne krzesło i, zasiadłszy na nim, śledziła rozwój wypadków. Inni sąsiedzi przyglądali się przeprowadzce dyskretniej, zza firanek.

Pod numerem trzynastym dziewczynka w czerwonym kapturku grabiła trawnik, raz po raz zerkając w kierunku wozu meblowego. Miała nadzieję, że w sąsiedztwie zamieszkają dzieci w jej wieku. Byłoby towarzystwo do zabawy w zbijaka na łąkach za domem.

Nic z tego. Kiedy przeprowadzka dobiegła końca, pod dom podjechało czarne bmw i wysiadł z niego mężczyzna w połyskliwym dresie. Nie towarzyszyło mu żadne dziecko. Z samochodu wyskoczył jedynie duży, czarny pies.

Nazajutrz, kiedy Czerwony Kapturek wracał ze szkoły z braćmi Niezgódkami, wozu meblowego już nie było. Dzieci szły wąskim chodnikiem między ogródkami sąsiadów, przeskakując pęknięte płyty chodnikowe.

Nagle na końcu uliczki pojawił się czarny pies. Miał rozmiar cielaka i zaczął biec w ich stronę ze zjeżoną na karku sierścią.

– Jejciu! – Cała trójka stanęła jak wmurowana.

Młodszy Niezgódka, który właśnie żuł bułkę z wędliną, zamarł w pół kroku z rozdziawioną buzią. Czerwony Kapturek w obronnym geście zasłonił kolegę plecakiem. Na nic się to zdało, bo pies dopadł chłopca i bezceremonialnie wyszarpnął mu z ręki kanapkę.

– Chaps! – wystarczyło jedno kłapnięcie wielkich szczęk i bułka zniknęła.

Pies, jakby mu było mało, obwąchiwał teraz plecak struchlałego ze strachu starszego Niezgódki.

Czerwony Kapturek chwycił psa za obrozę i pociągnął.

– Ej, wrzuć wsteczny... Rusz się!

Daremnie. Równie dobrze mógłby próbować przesunąć trzydrzwiową szafę. Pies uniósł tylko łeb, zdziwiony, i warknął.

Wtedy na końcu uliczki pojawił się nowy sąsiad w dresie. Szedł bez pośpiechu, ze smyczą przewieszoną nonszalancko przez ramię. Na widok dzieci wcale nie przyspieszył kroku, gwizdnął tylko i rzucił krótko:

– Sznycel! Do nogi!

Pies pobiegł do swojego właściciela.

Sznycel i jego pan minęliby dzieci bez słowa, gdyby nie to, że Czerwony Kapturek zastąpił im drogę i, unosząc wysoko piegowaty nos, oznajmił:

– Boimy się pańskiego psa. Proszę nie spuszczać go ze smyczy. To groźna rasa, na dodatek bez kagańca.

Mężczyzna z niedowierzaniem pokręcił głową i pochylił się nad dziewczynką.

– A kim ty jesteś, do diabła, żeby mi mówić, co mam robić? – spytał, ubawiony.

– To dosyć oczywiste, ale chętnie odpowiem – odparł Czerwony Kapturek. – Jestem dzieckiem i mieszkam tu, obok – piegowata dłoń wskazała dom pod trzynastką.

– Otóż to, dzieckiem. A dzieci i ryby głosu nie mają – prychnął sąsiad.

– I tu się pan myli! Nie znam się na rybach, ale co do dzieci... – Czerwony Kapturek sięgnął do kieszeni i błyskawicznie rozwinął przez nosem mężczyzny wielki arkusz papieru, na którym było wykaligrafowane:

**Dziecko ma prawo do swobodnej wypowiedzi o tym, co go dotyczy,
a jego zdanie winno być brane pod uwagę.**

Dziecku wolno mówić, co myśli i co uważa za słuszne.

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

– Phi! – prychnął pogardliwie sąsiad. – Pierwsze słyszę. A teraz z drogi! – Wyminął Kapturka i zniknął za furtką swojego domu.

– Ignorant! – fuknął gniewne starszy Niezgódka, który lubił zadawać szyku znajomością trudnych wyrazów.

– Karburator! – dodał młodszy, bo we wszystkim papugował brata.

Czerwony Kapturek pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie udał nam się sąsiad. Sto procent mugola.

Następnego ranka sygnał policyjnej syreny oderwał rodzinę Kapturków od śniadania. Wyjrzeni przez okno. Przed domem numer dziewięć powstało zbiegowisko. Wyszli do ogródka.

– Co się dzieje? – zapytali wszystkowiedzącą panią Wrzosek.

– Pies nowego sąsiada ugryzł dziecko.

Rzeczywiście, z daleka ujrzeli chłopca w śmiesznej czapeczce. Wierzgał chudymi nogami i opędzał się od sanitariusza, który próbował założyć mu opatrunek.

Podeszli bliżej.

– Nie trzeba! Nie trzeba! – wzbraniał się chłopiec. Uniósł głowę i rozpoznał w tłumie koleżankę.

– O, Kapturek! – ucieszył się. – Wytłumacz panom, że nie potrzebuję pomocy.

– To ciebie ugryzł ten pies? – upewniła się dziewczynka.

– Tak, biedny Sznycel, strasznie się naciął. Połamał sobie na mnie dwa zęby. A Pan Dresiarz właśnie tłumaczy się policjantom. Będzie słony mandat!

Dorośli przysłuchiwali się w osłupieniu. Pierwsza odzyskała głos pani Wrzoskowa.

– Pies połamał sobie na tobie zęby?! O czym ty mówisz, dzieciaku?!

Chłopiec i Czerwony Kapturek wymienili rozbawione spojrzenia.

– O! przepraszam, zapomniałam przedstawić – poprawiła się dziewczynka. –

Poznajcie mojego przyjaciela. Nazywa się...

– Pinokio! – chłopiec uniósł czapeczkę i szarmancko szurnął w ukłonie drewnianą nogą.

– Pinokio jest chłopcem... z drewna – roześmiał się Kapturek.

– Z bardzo TWARDEGO drewna – dodał pajacyk wesoło.

4.

Jaś i Małgosia, oboje markotni, wracali do domu po przegranym meczu. Kompletna klapa! Bracia Niezgódkowie znowu wygrali miażdżącą przewagą sześciu bramek. Czerwony Kapturek, który sędziował w tej rozgrywce, siedł obok, niosąc pod pachą sfatygowaną piłkę do nogi.

Na rogu ulicy Sierociej stał stragan z piernikami, a wszystkie miały kształt serca.

Największy piernik ozdobiony był napisem: „Kocham Cię!”, na innych widniały

hasła: „Daj buzi!”, „Mniam, mniam!” i „Koci, koci łapci”. Obok pysznił się

imponujących rozmiarów piernikowy domek, w którego wnętrzu ciepłym światłem migotała zapalona świeczka.

– Rewelacja! – zachwycił się Jaś. – Całkiem jak w bajce!

Opasana czarnym fartuchem sprzedawczyni tkwiła za ladą nieruchomości. Tylko jej oczy, czarne jak węgle, poruszały się w woskowo białej twarzy. Kobieta miała przypięty do piersi identyfikator z napisem: JAGA.

– Czego? – warknęła, kiedy trójka przyjaciół przystanęła przy straganie.

– My tylko patrzymy... – Małgosia cofnęła się o krok.

Jaś grzebał gorączkowo w kieszeniach, wyłuskując drobne monety. Miał nadzieję, że uzbiera choć na najmniejszy pierniczek z napisem „Smacznego!”.

Ech, nic z tego.

Sprzedawczyni przyglądała się tym zabiegom ze złośliwym grymasem na twarzy.

– Nie ma kasy, co? No to sio! – Sięgnęła po upatrzony przez chłopca piernik i schrupała go dwoma ruchami kwadratowej szczęki. Okruchy przylepiły jej się do nosa. – Nic tu po was, szczeniaki! – stanowczym ruchem odepchnęła dzieci od lady.

– Raz... – mruknął Kapturek pod nosem.

– Co ty tam mamroczesz, smarkulo? – Jaga łypnęła na dziewczynkę podejrzliwie.

– Nic takiego... Dwa. – Czerwony Kapturek odgiął kolejny palec.

– Wynocha!

– Trzy... – Kapturek nadal liczył.

Małgosia zrobiła krok w tył, ale Jaś ociągał się jeszcze, wpatrzony z zachwytem w piernikowy domek. Gapił się na dach z czekoladowych dachówek, na okna oszklone szybami z landrynek, na białe sopele lukru i kandyzowane wisienki, którymi ozdobione były ściany.

– Głusi jesteście?! – podniosła głos sprzedawczyni. – Spadówa, gnojki!

– Cztery. Już idziemy – oznajmił Czerwony Kapturek, tym razem głośno i wyraźnie.

– Powiesz mi wreszcie, smarkulo, o co ci chodzi z tym liczeniem? – Jaga chwyciła dziewczynkę za łokieć i ścisnęła boleśnie.

– Aua-a-a! Pięć. – Kapturek uwolnił się z uścisku – Liczę wszystkie obraźliwe słowa, jakich użyła Pani pod naszym adresem. Pięć krótkich zdań i pięć wyzwisk, od których język czernieje.

Sprzedawczyni osłupiała. Już, już miała otworzyć usta, żeby odpowiedzieć kolejnym wulgarnym słowem, kiedy piegowata dziewczynka sięgnęła do kieszeni i jednym ruchem rozpostarła wielki, starannie wykaligrafowany plakat:

Nikt nie ma prawa naruszać godności dziecka, obrażać go, ani poniżać.

Dziecku przysługuje to samo prawo do szacunku, jakim cieszą się dorośli.

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

Jaga przesyłabizowała napis i zaniósła się długim, hałaśliwym śmiechem, który brzmiał jak zgrzytanie zardzewiałym gwoździem po talerzu.

Dzieci spojrzały po sobie. No cóż, niektórzy dorośli są naprawdę DZIWNIE.

Cała trójka odwróciła się na pięcie i ruszyła do domu.

Całej tej scenie przyglądała się młoda dziewczyna w czarnych martensach. Stała na przystanku nieopodal, niby to zajęta studiowaniem rozkładu jazdy. W istocie uważnie nadstawiała uszu, by nie uronić ani słowa. Na opalonym przedramieniu miała wytatuowane imię Hermiona, a z przewieszanej przez jej ramię torby wystawał kłębek włóczki w kolorze bzu. I coś, co wyglądało jak drut do robótek ręcznych. Kiedy dzieci zniknęły za rogiem, a sprzedawczyni pierników schyliła się za ladą, dziewczyna podeszła do straganu. Wyjęła z torby różdżkę (tak, tak, to była różdżka!) i omiotła nią stertę pierników. Sypnęła drobnymi iskierkami i oddaliła się bez pośpiechu, pozostawiając po sobie delikatny zapach bzu.

Po chwili dał się słyszeć wściekły, chrapliwy wrzask:

– Aaa!!! – To Jaga pomstowała i wygrażała pięścią w bezsilnej złości. Bo oto na każdym pierniku w miejsce dawnych napisów pojawiały się nowe, wypisane białym lukrem: „Spadówka!”, „Sio!” i „Wynocha!”.

A kiedy tak krzyczała, nie szczędząc wulgarnych wyrazów, widać było jej język, czarny jak smoła.

5.

Wtorek był najfajniejszym dniem tygodnia. We wtorek cała klasa chodziła na pływalnię.

Basen był duży, za to szatnie – nie bardzo. Czerwony Kapturek z trudem znalazł szafkę. Ani Wiechetek się nie udało, zwinęła więc ubranie w tobołek i ułożyła na plecaku w kącie.

– Zdejmujemy zegarki i łańcuszki – powiedziała pani Skarbek, kiedy już wszystkie dziewczynki przebrały się w kostiumy. – Aniu, ty też. Szybko, nie ma czasu!

Anka zdjęła przez głowę czerwoną tasiemkę, na której wisiał mały srebrny kluczyk. Wsunęła skarb do kieszeni plecaka. Dziewczynki pośpiesznie wybiegły z szatni.

Została tylko kompletnie ubrana Mela. Nie wolno jej było pływać – zaledwie wczoraj wróciła do szkoły po grypie. „Żabką, płyniemy krytą żabką!” – okrzyki trenerki

docierały do szatni przez uchylone drzwi. Minuty dłużyły się niemiłosiernie, a Mela szwendała się z kąta w kąt. Policzyła już wszystkie dziurki w trampkach i obejrzała uważnie obrazki na ścianach.

Co za n-u-u-u-da... Dziewczyna wodziła wzrokiem po szeregach identycznych szafek. Jej wzrok padł na plecak Anki i złożone w kostkę ubranie.

Kiedy parę minut później Czerwony Kapturek wszedł do szatni w otoczeniu koleżanek, Mela poderwała się znad plecaka, w którym właśnie grzebała. Wysoko nad głową unosiła różowy pamiętnik. W drugiej ręce ścisnęła tasiemkę ze srebrnym kluczykiem.

– Sensacja! Rewelacja! Oto sekretny dziennik! Komu, komu, bo idę do domu!?

Ale zanim zdążyła dokończyć ostatnie zdanie, rozległ się krzyk i Ania Wiechetek była już przy niej. Wspinała się na palce i próbowała dosięgnąć pamiętnika.

– Oddaj, oddaj! – krzyczała rozpaczliwie.

Nic z tego. Mela, najwyższa w klasie, wskoczyła na ławkę i śmiała się w nos niziutkiej Ani.

– Kto chce się dowiedzieć, w kim się kocha Wiechetek, do mnie! Poczytamy sobie na głos... – chichotała Mela.

– Nawet nie próbuj! – Czerwony Kapturek, opasany ręcznikiem, stanął między dziewczynkami. Piegowata buzia okolona była czerwonym czepek kąpielowym, co nadawało jej wygląd Spidermana.

– A co mi zrobisz, mądralo?

Odpowiedź nie padła, bo drzwi się otwały i tłumek uczennic w mokrych kostiumach rozstał się przed panią Skarbek.

– Co tu się dzieje? – zapytała nauczycielka. – Czemu się nie przebieracie?

– Grzebała w moim plecaku! – wykrzyknęła Anka, z trudem powstrzymując łzy. – Zabrała...

Ale pani Skarbek już sięgała po różowy pamiętnik, a Mela usłużnie podsuwała jej kluczyk.

– Zobaczmy, o co tu chodzi... Pamiętnik? I o to ta awantura? – nauczycielka włożyła kluczyk do miniaturowego zamka i już, już miała go przekręcić, kiedy nagle – hop! – stanęła przed nią uczennica w czerwonym czepek kąpielowym.

– Stop! Proszę tego nie robić! – wykrzyknął Czerwony Kapturek i jednym szybkim ruchem wyszarpnął z fałd ręcznika arkusz ze starannie wykaligrafowanym napisem:

**Dziecko ma prawo do własnych sekretów. Nikomu nie wolno naruszać
tajemnicy korespondencji i osobistych tajemnic dziecka.**

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

Pani Skarbek zsunęła na koniec nosa okulary w grubych oprawkach. Zamrugła gwałtownie, a ręka z kluczykiem zastygła jej w pół gestu.

– Hm... – mruknęła – A wiesz, Kapturku... W tym... e-e-e... jest sporo racji...

– Sto procent racji! – odparła dziewczynka z właściwym sobie tupetem, zadzierając piegowaty nos. – Sekrety Anki to jej sprawa i nam nic do tego.

Ania Wiechetek rozpromieniła się, a nauczycielka bez słowa oddała jej pamiętnik. Na Meli zawiesiła na moment spojrzenie zza grubych szkielec.

Po chwili klasnęła w ręce.

– Porozmawiamy o tym na godzinie wychowawczej. A teraz się pospieszcie. Za dziesięć minut chcę was widzieć na dole – oznajmiła i wyszła.

Gdy dziewczynki ruszyły do swoich szafek, Czerwony Kapturek podszedł do Meli.

– Słuchaj, Melka, zaprosiłam cię na bal przebierańców w przyszłą sobotę, prawda?

– Tak, a co? – wzruszyła ramionami Mela.

– Zmiana planów. Zaproszenie nieaktualne. Zapomnij! – Czerwony Kapturek odwrócił się na pięcie i odmaszerował, pozostawiając na podłodze mokre ślady stóp.

6.

Bal przebierańców rozpoczął się o zmierzchu. Furtka domu przy ulicy Żurawinowej 13 przystrojona była balonami. Całkiem zwyczajny ogródek Kapturków wyglądał dziś inaczej: na drzewach wisiały kolorowe lampiony, a stoły uginały się od domowych ciast i ułożonych w piramidy owoców.

Bracia Niezgódkowie przyszli pierwsi i od razu zabrali się za wyławianie wiśni z kompotu. Uważali przy tym, żeby nie zamoczyć sobie tekturowych ryjków, bo obaj byli przebrani za Świnkę Peppę.

Czerwony Kapturek, w przebraniu Wilka, stał przy furtce i witał gości.

– Super impreza! – oznajmiła Gerda (w kostiumie ufoludka). A Kaj, przebrany za imbryk do herbaty, dodał krótko: – Czad!

Jaś i Małgosia grali w berka kucanego z Dziewczynką z zapałkami (która dawno już zapomniała o zapałkach). Cała trójka przytrzymywała w biegu ogony z kitką – kostiumy Muminków nie ułatwiały im zadania. Z odległego kąta ogrodu dobiegały śmiechy – to Pinokio zakopał w porzeczkach czekoladowe monety zawinięte w

sreberko, a gromada dzieciaków z sąsiedztwa szukała ich, zawzięcie grzebiąc w ziemi widelczykami do tortu.

Zabawa rozkręcała się w najlepsze. Właśnie zbliżał się moment, gdy Tata Kapturek miał wnieść lody, kiedy do furtki zastukali spóźnieni goście. Była to liczna rodzina Koszałków – krasnoludki słusznego wzrostu. Zwykle ubrani w spiczaste czapki, dzisiaj mieli na sobie białe kostiumy dalmatyńczyków usiane czarnymi piegami.

– Sorki za spóźnienie, mieliśmy drobną awarię z Gapciem – wysapał najstarszy Koszałek i wskazał małego braciszka, który powarkiwiał, szczekał i unosił nogę, całkiem jak pies. – Za bardzo wczuł się w rolę.

– Nic nie szkodzi. – Czerwony Kapturek poprowadził braci w stronę zastawionych stołów. – Przyszliście w samą porę. Zaraz będą lody, a potem będziemy pisać życzenia do Złotej Rybki.

– E-e-e... Pisać? – stropiły się chórem krasnoludki słusznego wzrostu. Apsik stanął jak wryty.

– No, jasne! – przytaknął Czerwony Kapturek – Przygotowałam kartki. Każdy napisze życzenie, wrzuci je do kapelusza, a Rybka spełni trzy wylosowane.

– Ale my... – stęknął Nieśmiałek i zamilkł.

– My nie... – urwał w pół słowa Gburek.

– My nie umiemy pisać – dokończył szeptem najstarszy Koszałek.

Zapadła cisza. Czerwony Kapturek zadarł głowę i patrzył z niedowierzaniem na rosłego krasnoludka.

– Żartujecie, prawda? – chciała się upewnić dziewczynka. Ale siedmiu braci zgodnie zaprzeczyło.

– Wiesz, jak to jest... – wzruszył ramionami najstarszy i zaczerwienił się po cebulki włosów – My, krasnoludki, mamy furę roboty! A to w kominku napalić, a to przepiórcze jaja odnaleźć w pokrzywach...

– Kota odrobaczyć...

– Naładować komórki Trąbalskim, bo zawsze zapominają...

– Koniom grzywy pozaplatać...

– Muchy potopić w barszczu...

– I do mleka nasiusiać, żeby skwaśniało – roześmiał się Gapcio.

– Serio??? Mleko kwaśniej od... – zaniepokoił się Kapturek.

– No co ty, żartowałem!

Zza pleców siedmiu braci wyłoniła się wysoka postać. Dopiero gdy zdjęła z twarzy maskę dalmatyńczyka, Czerwony Kapturek rozpoznał w gościu Opałka – młodego krasnala z rzadkimi blond wąsikami.

- Zawracanie głowy z tą edukacją – Opałek machnął ręką lekceważąco. – Jak świat światem, krasnoludki nie chodziły do szkoły. Na grzyba nam to abecadło? Ja ledwo umiem składać litery i popatrz, jaki duży urosłem! – Tu Opałek bez trudu sięgnął do gałęzi czereśniowego drzewa i zerwał parę dojrzałych owoców.
 - Duży, duży, a w głowie przeciąg hula, aż uszy łopoczą – mruknął Gburek z przekąsem.
 - Do szkoły zabrania nam chodzić – naskarżył rozżalony Nieśmiałek. – Zeszytu i kredek nie można się doprosić. Nawet liczydła nie ma w naszym domu.
 - A jak chciałem, żeby mi Opałek przeczytał bajkę, to cały dzień zajęło mu dukanie tytułu – dorzucił Gburek.
 - Bo to trudny tytuł był! Mnóstwo zawijasków i ogonków. – Opałek wypluł czereśniową pestkę pod nogi malca.
 - „Śpiąca Królewna”! Raptem dwa wyrazy! – obruszył się mały Gburek i schował za plecami Apsika.
- Wokół krasnoludków zaczęli się gromadzić goście. Pilnie nadstawiali uszu.
- Zaraz, zaraz, czy ja dobrze słyszę? – zapytał starszy Niezgódka – Nie chodźcie do szkoły?
- Wszyscy Koszałkowie pokręcili markotnie głowami.
- Czad! – zawołał Kaj, a Gerda spojrzała na niego z pobłażaniem.
 - Dopóki ja tu rządzę, żaden krasnoludek nie będzie tracił czasu nad książkami! – Opałek tupnął nogą, aż zadrżały kolorowe latarenki na drzewach. – I o szkole muzycznej też zapomnij! – tu wskazał palcem Nieśmiałka, który chował za plecami harmonijkę ustną.
 - Oj! – sapnął przestraszony malec.
 - To się jeszcze okaże! – zakrzyknął Czerwony Kapturek i jednym płynnym ruchem wyszarpnął z rękawa duży arkusz papieru ze starannie wykaligrafowanym napisem:

Dziecko ma prawo do nauki i rozwijania swoich talentów.

Dziecko ma prawo uczestniczyć w kulturze i w życiu społecznym.

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

- Ha! I co ty na to?
- Opałek skrzywił się tylko i nerwowo skubał rzadkie wąsiki.
- Czerwony Kapturek zwrócił się do braci Koszałków:
- No dobra, chłopaki! Opałek zje lody, a my tymczasem idziemy do Złotej Rybki. Pomogę wam napisać życzenia – dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

- Kredki! – klasnął w ręce Apsik.
- Akordeon... – rozmarzył się Nieśmiałek.
- Elementarz! – dorzucił Gapcio.

A Czerwony Kapturek mruknął do siebie z satysfakcją:

- Nos mnie swędzi. Coś czuję, że życzenia się spełnią.

7.

Ulica Żurawinowa dawno nie widziała takiego pochodu. Sąsiedzi podnosili głowy znad filiżanek z popołudniową herbatą i odprowadzali wzrokiem gromadkę wystrojonych dzieciaków.

Przodem maszerował Czerwony Kapturek w nowiutkich trampkach. Obok dreptał Głupi Jaś i co chwila poprawiał pod brodą jedwabną muchę. Z tyłu szła Śnieżka pod rękę z Szewczykiem Dratewką, a pochód zamykał Kopciuszek z żabą w objęciach. Wszyscy zmierzali w stronę teatru, gdzie dzisiejszego wieczora wystąpić miała rewelacyjna orkiestra z Krainy Czarów pod dyrekcją Szalonego Kapelusznika.

- Szybciej! Szybciej! – ponaglała żaba – Spóźnimy się!

Już z daleka dostrzegli tłum przed teatrem. Bilety dawno wyprzedano, ale przed kasą nadal stała kolejka spóźnialskich z nadzieją na wejściówki.

Czerwony Kapturek pogratulował sobie w duchu, że zawczasu zadbał o bilety dla siebie i przyjaciół. Teraz torowali sobie drogę w tłumie, zmierzając w kierunku wejścia. Na widok małego pochodu dorośli rozstępowali się życzliwie.

- Stop! Bilety proszszsz...

W drzwiach teatru stał napakowany bramkarz w koszulce z napisem OCHRONA. Kapturek posłusznie podał mu żółte kartoniki. Ten studiował je uważnie, ale nie spieszył się z wpuszczeniem gości.

- Ty wchodzisz – wskazał Śnieżkę – a reszta zostaje.

Przyjaciele popatrzyli po sobie zdumieni.

- Ale że co? – wyjąkał Głupi Jaś – Niby dlaczego?

- Odsuń się i nie rób obciachu – powiedział bramkarz. – Wpuszczamy tylko ODPOWIEDNICH.

- A co z nami jest nie tak, he?! – zapytał Czerwony Kapturek, chwyciwszy się pod boki.

- No dobrą, chciałem wam tego oszczędzić, ale skoro sami się prosicie... – odparł bramkarz. – Tobie brak jednej klepki – tu wskazał Głupiego Jasia. – Ty wyglądasz jak

dziwołag w tym berecie – puknął grubym palcem Czerwonego Kapturka. – Kopciuch jest biedny, a Szewczyk – kulawy. Że o żabie nie wspomnę... Wiadomo, płaz.

– O, wypraszam sobie! – zaprotestowała żaba – Ja jestem zaklętym księciem!

– Ta, księciem! – prychnął wykidajło – Bujdy dla ciemnego ludu!

Żaba z gniewu oblała się rumieńcem. Jej pyszczek przybrał kolor ciemnozielony jak skórka arbuza, a maleńka złota korona zsunęła się na nos.

– Okej, jesteśmy tacy i owacy, najwyraźniej nie w twoim guście – oświadczył Kapturek stanowczo – ale mamy bilety i wchodzimy.

Bileter jednak ani myślał ustąpić:

– To nie dla was miejsce. Idźcie do ZOO, mutanci.

A wtedy Czerwony Kapturek wyszarpnął z kieszeni wielki arkusz papieru z wykaligrafowanym napisem:

**Wszystkie dzieci mają prawo do równego traktowania,
bez względu na kolor skóry, rasę czy płeć.**

Dzieci niepełnosprawne mają takie same prawa jak ich sprawni rówieśnicy.

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

Ale zanim bileter zdołał odpowiedzieć, zza jego pleców wyłonił się sam Kapelusznik, bohater wieczoru.

W tłumie zapanowało poruszenie. Ten i ów szukał gorączkowo kartki, aby poprosić mistrza o autograf. Żaba gapiła się z uwielbieniem na swojego idola, a Śnieżka dostała czkawki z emocji.

Odziany w żółtą aksamitną kamizelkę Kapelusznik był drobny, głową sięgał bileterowi ledwie do łokcia.

– O co chodzi? – zapytał.

– Przyszli tacy... całkiem NIEODPOWIEDNI. Pogoniłem – szepnął poufale ochroniarz, ruchem głowy wskazując przyjaciół Czerwonego Kapturka.

Gwiazdor zmarszczył brwi.

– NIEODPOWIEDNI? To znaczy?

Bileter zamilkł, bo właśnie uświadomił sobie, że i Kapelusznik nie wygląda zbyt okazale – ot, pokurcz, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, ubrany jak błazen, do tego rudy... W dodatku mówią o nim „Szalony”...

Kapelusznik zdawał się czytać w myślach ochroniarza, bo klepnął go w napakowany biceps i powiedział:

– Panu już dziękujemy. – Wyjął z rąk osiłka srebrny kasownik i wskazał mu drzwi na zaplecze. – Marcowy Zając zaparzy panu herbatkę, a ja tymczasem zajmę się biletami.

Rozległy się oklaski i tłum widzów grzecznie ustawił się w kolejkę.

– Czy to prawda, że po herbatce zaparzonej przez Marcowego Zająca gość przez dwa tygodnie puszcza smrodliwe bąki? – zapytała Żaba szeptem, podając bilet.

– E tam, bujdy dla ciemnego ludu – odpowiedział Kapelusznik i mrugnął porozumiewawczo.

8.

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, a dokładniej – w Gorzowie Wielkopolskim żyła sobie Eurosierotka Marysia.

„Eurosierotka” znaczy tyle, że chociaż miała oboje rodziców, to jakby nie miała ich wcale, bo dawno temu wyjechali na zarobek do Dublina i zostawili Marysię z babcią. U babci nie było źle, ale kiedy inne dzieciaki szły z rodzicami na lody albo na szkolny Bal Szóstoklasisty, Marysia łuskała groch w babcinej kuchni. Babcia miała reumatyzm i nigdzie nie chodziła z wnuczką. Bo i po co, mało to roboty w domu?

Nauka szła Eurosierotce Marysi opornie, bo zamiast odrabiać lekcje, raz po raz sprawdzała, czy nie nadszedł SMS od mamy i taty. Na początku SMS-y przychodziły często, ale z każdym rokiem coraz rzadziej – raptem raz na miesiąc, a i to nie zawsze.

Aż któregoś dnia zła czarownica podsunęła rodzicom Marysi zatrute jabłko i – trach! – przestali się kochać. „Skarbie, przykro mi, rozwodzimy się” – nadszedł SMS z Dublina.

Nie minął miesiąc, gdy tata Marysi nagle przyjechał do Gorzowa. Szast-prast – spakował niewielką walizkę córki, cmoknął babcię w policzek i wkrótce ojciec i córka zamieszkali na drugim końcu Polski. Traf chciał, że tuż obok domu Kapturek, na ulicy Żurawinowej.

Ledwie Czerwony Kapturek wypatrzył z okna nowych sąsiadów, już zabrał się za pieczenie bułek z rodzynkami. Nic tak nie sprzyja zawieraniu nowych znajomości jak domowe wypieki! Godzinę później z koszykiem gorących bułek w objęciach dziewczynka zastukała do drzwi domu obok. Dałaby głowę, że zza drzwi dochodziło ciche szuranie kapci, a w oknie poruszyła się firanka, ale nikt nie otwierał. Postawiła zatem koszyk na progu, poprawiła kartkę z napisem „Witamy!” i wróciła do domu.

Nazajutrz miała więcej szczęścia – w drodze do szkoły natknęła się na Marysię, która trzepała dywanik przed domem. Na widok Czerwonego Kapturka mała sąsiadka próbowała czmychnąć do domu, ale nie była dość szybka.

– Hej, bez obawy! Mieszkam tu, obok. Możemy pogadać?

Marysia zatrzymała się na progu, ale zwlekała z odpowiedzią.

– Dzięki za bułki – wymamrotała w końcu. – Nie wolno mi z nikim rozmawiać.

– Serio?! A to dlaczego? – zdziwił się Czerwony Kapturek.

– Bo jestem... nielegalna – szepnęła Marysia i próbowała zamknąć drzwi, ale Kapturek powstrzymał ją gestem.

– Nielegalna?!

Mała sąsiadka pociągnęła nosem raz i drugi... Było jasne, że nie jest jej do śmiechu. Czerwony Kapturek postanowił, że opuści pierwszą lekcję w szkole. Trudno, sprawa wyglądała zbyt poważnie.

Chwilę później dziewczynki siedziały w kuchni nad parującymi kubkami herbaty, pałaszując bułki.

– Moi rodzice się rozwiedli – mówiła Marysia. – Podobno kłócili się tak bardzo, że wszystko fruwało. Nie potrafili się dogadać, które z nich zamieszka ze mną. Więc tata wrócił do Polski i zabrał mnie od babci bez pytania. Wynajął ten domek i nie pozwala dzwonić do Dublina. Nikt nie wie, że tu jestem.

– Chcesz powiedzieć, że mama nie ma pojęcia, co się z tobą dzieje?

– Mhm – Marysia skinęła głową, a łzy spływały jej po nosie i moczyły nadgryzioną bułkę.

– Jejciu! Wyobrażam sobie, jak się martwi!

Poruszony Kapturek zerwał się z taboretu i wyszarpnął z kieszeni kartkę, na której wykaligrafowane były następujące słowa:

**Dziecko ma prawo do opieki obojga rodziców,
o ile żadne z nich nie krzywdzi dziecka.**

**Jeśli rodzice mieszkają w różnych krajach,
dziecko ma prawo pozostawać w kontakcie z obojgiem.**

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

– Chcesz powiedzieć, że mogę zadzwonić do mamy? – upewniła się Marysia.

– Jasne! Dzwonić, skajpować, mejlować... Rodzice sami muszą rozwiązać swoje problemy, a twoje kontakty z mamą nie mogą na tym ucierpieć.

- Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwiła się Marysia i wytrąbiła nos hałaśliwie.
 - No cóż, jestem po kursie sprowadzania Zagubionych Chłopców z Nibylandii. – Czerwony Kapturek zmiotł okruchy ze stołu. – Musisz wiedzieć, że nie wszystkim to się podoba. Piotruś Pan, ile razy mnie widzi, wywała jęzor do pasa...
- Ale Marysia już nie słuchała, właśnie wybierała na komórce kierunkowy do Dublina.

9.

Na początku października dyrektor Rąbek przyprowadził do klasy nową uczennicę. Wskazał jej miejsce w pierwszej ławce – tam, gdzie nikt się nie kwapił siadać.

- Przedstawiam wam nową koleżankę, oto Sara.

Jęzory poszły w ruch. Bracia Niezgódka chichotali jak szaleni, a dziewczyny wychylały się z ławek, żeby lepiej zobaczyć odlotowe adidasy nowej.

- Ale warkocz! Czad! – jęknął Kaj. Rzeczywiście, jasny warkocz Sary spływał przez poręcz krzesła i sięgał do podłogi.

Mela od razu nazwała nową Małą Księżniczką – co miało być złośliwe, ale pasowało jak ulał, bo Sara wyglądała, jakby przyszła do nas prosto z bajki. Jak z bajki były też jej przybory: wyjęła z plecaka zeszyty obłożone w srebrny papier, a jej wieczne pióro z portretem Harry'ego Pottera na skuwce napełnione było zielonym atramentem. Księżniczka wszystko miała SUPER. Nawet Czerwony Kapturek poczuł lekkie ukłucie zazdrości na widok wszystkomającej komórki, z której nowa wysyłała na przerwach SMS-y.

Sara okazała się spoko. Nie zadzierała nosa, świetnie grała w kosza, pomogła Filemonowi zbierać kasę na schronisko dla kotów, a małym Koszałkom pożyczyła rower. Nawet Mela musiała przyznać, że nowa da się lubić.

Tylko dlaczego Księżniczka prosto ze szkoły biegła do domu, żeby zakuwać jak dzięcioł? I zalewała się łzami, ilekroć dostała czwórkę? Żaden stopień poniżej piątki jej nie cieszył.

Pewnego dnia, po lekcjach Emil zauważył przytomnie:

- Sara ma superuśmiech, superwarkocz, supernajki, superstopnie i superkomórkę, ale nie wygląda na zadowoloną, co?
- Nie wygląda, fakt – zgodził się Czerwony Kapturek.
- Co powiesz na małe śledztwo? – mrugnął Emil.
- Jasne! My, Kapturki, lubimy wtykać nos w nieswoje sprawy.

Jeszcze tego samego dnia para przyjaciół zapukała do domu Księżniczki.

Otworzył im tata Sary. Wyglądał dostojnie jak król. Omiótł wzrokiem Emila i Kapturka, zatrzymując wzrok na dwóch parach niezbyt czystych trampek.

– Buty zostawcie za drzwiami – rozkazał kwaśno.

Goście posłusznie zdjęli trampki. Okazało się, że w skarpecie Emila widnieje pokaźna dziura, przez którą widać duży palec u nogi.

– Peszek! – roześmiał się Emil.

Ale tata Sary nie wyglądał na rozbawionego.

Za drzwiami dobiegał dźwięk męczonych na fortepianie gam.

Do... re... mi... fa... – melodia rwała się żałośnie, a grający ciągle zaczynał od nowa.

– Musicie poczekać. Sara ma lekcję muzyki. Kończy za pięć minut – powiedział tata Sary. – A potem musi ćwiczyć pasażę. Więc nie pogadacie za bardzo...

Chwilę później muzyka umilkła i drzwi pokoju otworzyły się na oścież. Wyszła z nich malutka, siwowłosa pani z plikiem nut pod pachą. Za nią podążała Sara z ponurą miną, jednak rozchmurzyła się na widok przyjaciół.

– Hej! Fajnie, że wpadliście – szepnęła Księżniczka.

Tata Sary chwycił siwą nauczycielkę za łokieć.

– Jak poszła dzisiejsza lekcja? Jakieś postępy? – zapytał natarczywie.

– No cóż, żadnych postępów. – Starsza pani uwolniła się z uścisku.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

– Jak to „żadnych postępów”?! Ja pani płacę i oczekuję wyników! – zagrzemiał.

Na słowa ojca Księżniczka zgarbiła się i wtuliła głowę w ramiona, jakby chciała zniknąć.

Nauczycielka poprawiła plik nut.

– Drogi Panie, mówiłam to wiele razy i powtórzę po raz kolejny: Sara to mądre i pracowite dziecko, ze świecą szukać równie bystrych. Niestety, nie ma ani słuchu muzycznego, ani zamiłowania do muzyki. Tracimy czas.

Księżniczka objęła nauczycielkę i przytaknęła jej gorliwie:

– Tato, proszę, dajmy spokój tym lekcjom – powiedziała, ośmielona obecnością przyjaciół. – Jestem pośmiewiskiem w szkole muzycznej. Nie daję rady...

– Bzdury! – zachnął się ojciec – Za tydzień zagrasz koncertowo.

– Ale beze mnie – oznajmiła siwa pani i zwróciła się do Sary: – Wybacz, kochanie, nic tu po mnie. – Poglądziła dłoń dziewczynki przeproszającym gestem, po czym ruszyła do wyjścia.

Tata Sary sapnął przez nos jak wściekły hipopotam. Ledwie drzwi zamknęły się za nauczycielką, oznajmił:

– Jędz! – A potem dodał: – Nic nie szkodzi, poszukamy kogoś lepszego.

Zapadła krepująca cisza, którą przerwał Emil:

– Pan pozwoli... Jestem początkującym detektywem i dokonałem kilku obserwacji. O, choćby to zdjęcie – tu wskazał ramkę z fotografią, na której widniał mały chłopczyk w aksamitnym ubranku, ze skrzypcami w objęciach. – Czy zechce pan wysłuchać... ekhem... BAJKI?

– Bajki!?! – oferta była tak niecodzienna, że tata Sary kiwnął głową.

– Otóż – zaczął Emil – dawno, dawno temu żył sobie pewien chłopiec, ukochany jednak troskliwych rodziców. Był tak wychuchany, że niekiedy dla żartu nazywano go Małym Księciem. Na trzecie urodziny chłopiec dostał pierwsze skrzypce. Odtąd wychowywany był na wirtuoza. Przepowiadano mu wielką muzyczną karierę.

– Hm... – tata Sary poruszył się niespokojnie.

– Pewnego dnia fatalny wypadek pokrzyżował ambitne plany chłopca i jego rodziców

– ciągnął Emil. – Niefortunny upadek z drzewa...

– Z dachu drewnutni – wtrącił się ojciec Sary.

– ...niefortunny upadek z dachu drewnutni sprawił, że młody muzyk połamał palce prawej ręki. Złamanie źle złożono i dłoń nigdy już nie wróciła do pełnej sprawności. Kariera skrzypka została zaprzeczona.

– Miałem dziesięć lat – powiedział tata Sary i spojrzał na swoje dłonie.

– Czas płynął – mówił Emil – chłopiec dorósł i założył rodzinę. Urodziła mu się córka. Wychuchana jedynaczka, prawdziwa Księżniczka...

Sara słuchała uważnie, zerkając raz po raz na ojca.

A Emil ciągnął dalej:

– Mężczyzna postanowił, że jego zawiedzione nadzieje na muzyczną karierę spełni córka. Kupił instrument, opłacił najlepszych nauczycieli. Tyle tylko, że Księżniczka nie polubiła fortepianu ani skrzypiec. Lubiła za to grać w kosza. Była w tym naprawdę dobra. Ale na boisko nie starczało już czasu.

– Stop! – Tata Sary zamachał gwałtownie rękami. – Skąd ty to wszystko wiesz? Jak... Jak na to wpadłeś?!

– Drogą dedukcji, ma się rozumieć. To zdjęcie i pańskie palce – dodałem dwa do dwóch – odpowiedział młody detektyw i mrugnął porozumiewawczo.

Nagle przed Sarą i jej ojcem wyrósł Czerwony Kapturek. Piegowata dziewczynka wyszarpnęła z kieszeni arkusz papieru i uniosła go wprost pod nos mężczyzny.

Widniał na nim krótki, pięknie wykaligrafowany napis:

Dziecko ma prawo do porażki.

Podpisano: Rzecznik Praw Dziecka

A Sara pokiwała potakująco głową i wsunęła swoją małą łapkę w niedźwiedzią dłoń taty.

Twoje buty są mniejsze od butów rodziców, a twoje mleczone zęby – drobniejsze niż siekacze dorosłego. Rośniesz, ale nadal nie sięgasz do pudeł na pawlaczu. Nie wolno ci oglądać horrorów w telewizji i ciągle słyszysz, że jesteś na to czy tamto za mały. I tylko twoje prawa rosną razem z tobą – zawsze w rozmiarze w sam raz. Bo chociaż nazywamy je prawami dziecka, są przecież prawami wszystkich ludzi – małych i dużych.